Nr. 27. Rok I.



NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Cena prenumeraty: kwartalnie w miejscu 15 sbr., na prowincji 18 sbr. 9 fen., w Krakowie i Lwowie 1 złtr. 20 c., w Galicji i w innych krajach austrjackich 1 złr. 40 c.

Poznań, 1 Lipca 1871.

Redakcja przy ulicy Berlińskiéj Nr. 14. Ajencje: Lwów: Milikowski, Gubrynowicz i Schmidt. Kraków: Friedlein, Józef Czech.

Filozofja natury

przez

Henryka Levittoux,

krytycznie przedstawiona

przez

Karola Libelta.

(Dalszy ciąg).

k) Przewroty ziemi. Wyłonienie Ameryki. Przyszłość ziemi.

Bernard Palissy, którego pamięci p. Levittoux pracę swoją poświęcił, był prostym zdunem z drugiéj połowy XVI wieku. On to bez znajomości języków starożytnych, któremi w ów czas pisano uczone dzieła, stał się znakomitym badaczem w dziedzinie fizyki. Do jego czasów szkoła mężów uczonych, miała muszle i skamieniałości w pokładach ziemnych, za igraszki natury. On pierwszy wyrzekł stanowczo, że to są prawdziwe muszle i prawdziwe ryby i zwierzęta, które zakamieniały. On też tym jasnym poglądem na zapadłą przeszłość natury, położył zasady do późniejszéj Cuvier'a anatomii porównawczéj i jego paleontologii.

Cuvier z zębu mamuta, przysłanego mu z Syberji odgadł jego kształt i narysował zwierzę, i pokazało się że odnaleziony naturalny mamut zamrożony w lodach przy ujściu rzeki Leny, nie odbiegał od rysunku uczonego analisty. W tem dociekaniu z kawałka kości, budowy całego zwierzęcia uważa p. Levittoux spełnioną przepowiednią o zmartwychwstaniu ciał na ziemi. (st. 349).

Cuvier też pierwszy pisał o przewrotach ziemi, czyli rewolucjach sprawionych przez potopy. W pierwotnych kamiennych pokładach nie ma śladu żadnych resztek skamieniałych, bo wtedy żadna żyjąca istota nie istniała. Następna epoka pozostawiła w fossyliach skamieniałości mięczaków, ryb monstrualnych płazów i zwierząt morskich. W późniejszych pokładach mieściły się pachydermy i zwierzęta ssące lądowe. Nareszcie w ostatnich warstwach przedpotopowych odnalazł olbrzymie utwory mamutów, mastodontów, nosorożców, hippopotamów. Nigdzie nie pokazały się szczątki człowieka. Z tego uczynił wniosek, że typy zwierząt zmieniały się po każdym przewrocie ziemi, i że dopiero po ostatnim potopie powstał człowiek.

Inni geologowie przeciw tym wnioskom Cuvier'a powstawali i do nich przywiązał się i p. Levittoux, utrzymując, że po przewrotach ziemi nowe gatunki zwierzat nie powstawały, tylko jedne z nich ubywały, a inne kształciły się odmianach przez rasy; zaś człowiek, że sięga czasów przedpotowych. Kwestją tę już eśmy raz dotknęli przy okoliczności znalezienia w Sardynji śladów pierwotnego przemysłu ludzkiego przez de la Marmora. Ile sobie przypominam, tak ten przypadek, jak kilka innych, które d'Orbigny i Lyell przytaczają, gdzie po grottach znaleźć miano kości ludzkie z kośćmi zwierząt przedpotopowych, nie dość jeszcze są wyjaśnione, aby na nich stanowcze oprzeć można wnioski. Zależy też wszystko od tego, czy jeden ogólny (biblijny) potop przypuszczamy, czy perjodyczne miejscowe tylko potopy; nareszcie zaważa na szali także czas do którego potop ostatni odnosimy.

Przyczynę potopów, różni różnie tłomaczyli: aby gromadzenie się lodów, raz u północnego, to znów u południowego bieguna sprowadzało co 10,500 lat przechylenie się osi ziemi, a ztąd zalew wód oceanowych na lądy stałe, jest może najniewcześniéjszą hipotezą. Astronom Bescel ścisłym obrachunkiem udowodnił, że aby oś ziemi tylko o jednę sekundę ku kliptyce pochylić się mogła, trzebaby 114 mil kubicznych ziemi przenieść z jednego miejsca na drugie, o 90 stopni od tamtego oddalone. Jest to massa ziemi, przewyższająca massę wszystkich gór razem wziętych. Dodajmy do tego, że przechylenie osi na jednę sekundę dałoby tylko 97 stóp powierzchni przechylonéj. Z tą massą kubiczną ziemi, massa lodów nagromadzonych pod biegunem, stosunkowo lżejszych, w porównanie iść nie może.

Skłaniamy się i my do zdania naszego autora, że tylko jedna teorja wynurzania się i zapadania się lądów, przyczynę potopów w zgodzie z nauką tłomaczyć może. (st. 358).

Żar wewnętrzny ziemi, który jedni przypisują pierwotnemu ogniowi, jakim się początkowo paliła cała ziemia nasza, drudzy, jak p. Levittoux uważają za skutek chemicznego procesu, odbywającego się we wnętrzu globu naszego — żar ten, sprawujący dotąd wyrzuty wulkanów i trzęsienia ziemi, podnoszenie się nagłe wysp i ich znikanie — dźwiga od czasu do czasu potężne góry i lądy do góry, a w innych miejscach sprawia zapadłości, przez te rewolucje wyprowadza zmiany lądów i wód, zalewając pierwsze a odsłaniając dna drugich. Głębie oceanu do 8000 metrów, a blisko tyle wyniosłości najwyższych gór wynoszą. Nie jest to jeszcze tyle, co zmarszczka na skórce pomarańczy, a jednak zagubić może wszystkie jestestwa, nie mogące w wodzie się utrzymać.

Wedle ścisłych badań p. d'Orbigny mało było lądu w czasie między pierwszą a drugą epoką przypadającym: północna Europa była zalana. Dzisiejsza Francja przedstawiała gromadę większych i mniejszych wysp. Wody stały, gdzie dziś Paryż, Bordeaux, Marsylja. Jest to epoka morza Silluryjskiego, jak ją d'Orbigny nazwał.

Epokę podniesienia się Alp i Kordyllerów, uważają Humboldt i de Beaumont za przyczynę powszechnego (biblijnego) potopu. Są to masy olbrzymie prawda, ale na powierzchnią ziemi, wynoszącą 9,288,000 mil kwadratowych, za słabą, aby ją z tego powodu wody mogły naokół zalać do wysokości, sprowadzającéj ogólny zatop i zniszczenie. Zdaniem autora, wyłonienie się Ameryki z głębin morza jest prawdopodobniejszą przyczyną rozległego ale niekoniecznie ogólnego potopu. Bo pozostać musiały lądy, choćby tylko wyniosłe góry, od potopu nietknięte, zkąd się ludzie i zwierzęta przenosiły do Ameryki, połączonéj jeszcze z Azją czy Europą. Przypuszczenie to uważa autor za konieczne, bo historja natury nie jest dramatem, w którymby występowały co chwila nowe osoby. Acz największa część skał najstarszych Ameryki była widocznie lądem już przedpotopowych czasów, nic to nie przeszkadza, aby ląd téj nowéj części świata, tak jak jest dzisiaj, z głębin wyparty nie został. Przemawia za tém obfitość wulkanów w Ameryce, świadczących o świeżéj jeszcze sile ogni podziemnych, dających się we znaki wybuchami częstemi i trzęsieniami ziemi. Skamieniałości zwierząt przedpotopowych w Ameryce pochodzą ze starego lądu, zaniesione na dno oceanu w czasie powszechnego potopu (str. 362).

W konsekwencji podniesienia się po nad ocean tak ogromnéj masy lądu, oświadczyć się musiał autor za potopem powszechnym, z ograniczeniem wzwyż przytoczoném, i nie będąc sprzecznym potopom miejscowym, które od epoki do epoki mogły się pojawiać. Ludzie najprawdopodobniéj na górze Himalaja znaleźli schronienie przed ogólną klęską, bo ludność popotopowa ztamtych stron, wedle tradycji, na całą ziemię się rozeszła.

Datę powszechnego potopu oznacza Cuvier na 5 do 6 tysięcy lat, coby się zgadzało z obliczeniem biblijném. Uczony francuzki oparł swoją chronologję na różnych geologicznych pojawach, jak na tworzeniu się napływów w północnéj Europie, powstałych z nagromadzenia się rośliny ephagnum zwanéj; na tworzeniu się stoków gór, na posuwaniu się piasków wyrzuconych przez morze, a naniesionych wiatrami z Libji do Egiptu; na tworzeniu się gruntu przez cofanie się rzek.

Pan Levittoux, jak się rzekło, uważa wyłonienie się z oceanu Ameryki za przyczynę potopu:

„Ameryka, powiada, ujrzała światło w chwili, kiedy cała Europa, Azja i Afryka, z wyjątkiem kilku istót ludzkich, lub rasy jakiéj szczęśliwą miejscowością ochronionéj i niektórych stworzeń cudem ocalonych, były w nurtach zatopione, to jest w epoce powszechnego potopu, który bardzo prawdopodobnie miał miejsce na lat 4,963 przed Chrystusem“ (str. 380).

Oto ostateczne zdanie naszego autora w téj materji. Nie dowierza on rachunkom Cuvier'go co do daty potopowéj. I my sądzimy, że epoka ta daleko musi być odleglejszą, mając wzgląd na późniejsze geologiczne postrzeżenia: na podnoszenia się, a indziéj zniżania się skał lądowych nadbrzeżnych, — na odkrycie kurhanów kuchennych po wyspach duńskich i w Ameryce, sięgających najodleglejszych czasów dzikiego jeszcze stanu ludzi, ogryzających kości i wyrzucających je na jeden kurhan podłóżny, — na odkrycia mieszkań nawodnych z zabytkami także bardzo odległéj kultury kamiennéj. Wszelako nic tu stanowczego powiedzieć się nie da, i chwytamy liczby, podane nam przez uczonych, acz nie na bardzo pewnych badaniach oparte.

Co do przyszłości naszego planety, jak powiada Beudant, „stan spokojności jego obecnéj jest czasowym tylko, jak czasowemi były przestanki między katastrofami przeszłości.“ Po długich perjodach spokoju następowały nagle okropne zniszczenia; a przyczyna tych rewolucji ani ustała, ani się zmniejszyła, i wybuchami wulkanów i trzęsieniami ziemi daje znać o sobie. Idea religijna końca świata znajduje tu swoją podstawę, o ile się to ziemi tyczy. Będzie więc koniec istnienia życia na ziemi. Ona zwolna zastyga skutkiem coraz głębszego krzepnienia jéj skorupy. Wedle Buffona było potrzeba 60,000 lat do zastygnienia na głębokość 20—40 kilometrów. Możnaby ztąd zrobić przybliżony rachunek, kiedy nastąpi jéj całkowita skrzepłość. Ale przyjdzie czas, kiedy jak bryła lodu kołować będzie około słońca, wiecznie martwa i samotna“ (str. 383).

Ale autor przypuszcza jeszcze katastrofy potopu, poprzedzić mające tę zlodowaciałość globu. „Przyjdzie więc chwila, za wieki wieków, za rok, za godzinę, może za chwilę, w któréj dowiemy się o nowéj katastrofie, kiedy zaszumią gwałtownie bałwany nad nami i uderzywszy o domy nasze, wraz z dziećmi, wraz z przyjaciołmi i nieprzyjaciołmi, uniosą nas martwych na morza lodowate, lub w strony odległéj Kamczatki zarzucą“ (str. 384).

Autor kończy ten smutny obraz zniszczenia piękną apostrofą moralną. „Krzywda ludzka w téj wielkiéj chwili, w téj jednéj chwili wspólnego nieszczęścia, wspólnego krzyku i zamieszania, kiedy się wraz z dziećmi ujrzymy zamurowani, w nurtach piekielnych wody, duszący się i nie mogący znaleźć powietrza, ażeby o sekundę szczęście życia przedłużyć, ażeby wielką trwogę, ażeby chociaż rozpacz śmierci przedłużyć — krzywda, mówię, ludzka w téj okropnéj chwili jakże ciężko ugniatać nas będzie! O! w owéj chwili, w owéj jednéj chwili, znajdziemy karę za brak miłości bliźniego, za nasz egoizm na ziemi!“ (str. 385). (C. d. n.)

Pod jednym dachem.

Powieść

przez

Wołodego Skibę.

(Dokończenie.)

— Pan odebrałeś tę kartkę? — rzekła bledniejąc.

— Tak jest, pani... zastosowałem się do niéj... poszedłem... i...

Doktorowa niepotrzebowała dalszych objaśnień.

— Oddaj mi pan moją chusteczkę i to co w niéj było, — rzekła drżącym febrycznie głosem, — spodziewam się, że pan nie oglądałeś...

Pan Baltazar sięgnął ręką po depozyt i już go miał wyjąć z kieszeni, ale się zawahał i wstrzymał.

Słynny dyplomata powiedział, że należy strzedz się pierwszych popędów, bo zwykle bywają szlachetne, — pan Baltazar poszedł za jego radą.

Był on, jak nam wiadomo, wdowcem, i to wdowcem który już dawno odbolał stratę małżonki, która niepotrafiła podobno kartą wiecznéj żałoby zapisać się do jego serca i pamięci. Aby godniéj uczcić jéj wspomnienie, — choć tego rodzaju uczczenie dwojako da się tłomaczyć, — pan Baltazar postanowił nie żenić się powtórnie, ale bynajmniéj nie poprzysiągł odwracać się plecami do dorywczego szczęścia, jeżeli mu się jakie w życiu przytrafi. Widzieliśmy go już dawniéj jak z ogródka Babiéj wyspy strzelał oczyma na Jadwigę, chcąc sobie może takie dorywcze szczęście upolować, ale tamto polowanie nie powiodło się zupełnie, — Jadwiga była nadto nieprzystępną, trzeba więc było dać za wygraną i innéj poszukiwać okazji.

Taka okazja przytrafiała mu się w téj chwili. Ktoś przez pustotę czy przez złośliwość oddał mu w ręce wątek tajemnicy pani Tuckiéj; fotogram, który dziwnym zbiegiem okoliczności przeszedł w jego posiadanie, przedstawił mu doktorową w postaci zadość czyniącéj jego marzeniom i pragnieniom. Pani Tucka nie wydawała się wprawdzie taką w naturze, jaką była na fotogramie, ale taką przecież musiała być, skoro ją taką przedstawiło słońce, które, według bardzo powszechnéj opinji, podzielanéj także przez pana Baltazara, kłamać nie potrafi nigdy. Jeżeli kto jéj nie widział taką, jaką widziało ją słońce, znać że nie patrzył na nią okiem słońca, — p. Baltazar uczuł jakąś słoneczność w swoim wzroku i nawet przez woalkę coraz nowe w jéj licach odkrywał powaby.

Wszystko to było przyczyną, że p. Baltazar uległ drugiemu popędowi, który według słynnego dyplomaty niezawsze bywa szlachetnym, to jest zawahał się i wstrzymał z oddaniem depozytu doktorowéj.

Pani Tucka trzymała wyciągniętą rączkę, oczekując zwrotu własności, którą w tak niebaczny sposób powierzyła w ręce przypadku, ale oczekiwała napróżno.

— Nie, pani, — rzekł do niéj p. Baltazar, — ja tych drogich pamiątek zwrócić pani nie mogę.

— Jakto, panie?... co pan przez to rozumiesz?... nie godzi się nadużywać położenia, które panu przypadkiem odsłoniło cząstkę tajemnicy... familijnéj... bo to tylko familijna tajemnica, panie... nic innego... spodziewam się, że mi pan wierzysz...

— Spodziewam się, — odrzekł Gąciński, — nie wątpię... ale...

— Ale ociągasz się pan z oddaniem... to się nie godzi... panie Baltazarze...

— Pozwól pani... spocznijmy przez chwilę na ławce... wytłomaczę się pani...

Odmówić było prawie niepodobna. Usiedli.

Pan Baltazar zaczął się usprawiedliwiać. Był tego poranku bardzo wymownym, jakby na poparcie przysłowia, że kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje... elokwencję. Niezwykłość położenia, w jakiém się znajdował, tłomaczy go, że nie wszystko co mówił było, ściśle biorąc, prawdą. Powiedział między innemi p. Tuckiéj, że to wszystko co w niéj ujrzał dopiero gdy zobaczył jéj fotogram, widział już oddawna, że ją ubóstwiał i wielbił w ciszy i milczeniu, że cierpiał jak Werter, że choć jéj był znany jako Baltazar Gąciński, nie był jéj znanym jako wielbiciel, więc na dedykację napisaną na książce zasłużył i zatrzymać ją ma prawo. Mówił w tym tonie długo, bardzo długo, gdy mu na chwilę wątku zabrakło, używał najulubieńszéj dla pani Tuckiéj figury retorycznéj — westchnienia, i w końcu zdobył się na zwrot prawdziwie oratorski, bo powiedział:

— Teraz, pani, kiedym ci odkrył moją duszę, zażądaj zwrotu tych skarbów, któreś mi dzięki szczęsnemu dla mnie przypadkowi powierzyła, a oddam ci je... z zakrwawioném sercem.

Konsyljarzowa nie chciała widać zakrwawiać mu serca, bo pozostawiła w jego ręku depozyt, zastrzegła sobie tylko, żeby z tego zaufania nie wyprowadzał żadnych ubliżających jéj wniosków i przypuszczeń. Pan Baltazar przysiągł, że nic podobnego w myśli mu nawet nie postało, że jedyném jego pragnieniem i marzeniem jest niekiedy sam na sam porozmawiać z panią Tucką, na co konsyljarzowa odpowiedziała, że mógłby się poradzić jéj męża, to on mu z pewnością jakie wody doradzi, i będzie miał podobną sposobność co rano...

Pan Baltazar poszedł za tą radą i na Babiéj wyspie zaczęły się zrazu ciche, potém coraz głośniejsze szepty o rannych wycieczkach pani Tuckiéj z panem Baltazarem na wody.

Szczęście, że ten żywioł przybył do rozmowy, bo Pilski od zażycia wiadomego nam lekarstwa takim stał się odludkiem, tak się z oczu usunął wszystkim, że o nim mówić zaprzestano. Panna Iza nawet powoli traciła nadzieję, że to się kiedyś odmieni i uznała go za straconego dla siebie, co jéj omal o ciężką nie przyprawiło chorobę.

Sam tylko doktor Tucki po kilku dniach zdołał uzyskać przystęp do mizantropa, którego łagodną i uprzejmą rozmową nakłonił do wyznania, w jaki sposób postępował z przepisywanemi sobie lekarstwami, i na którym udało mu się wymódz przyrzeczenie, że dalsze leki przyjmować będzie tylko z rąk doktora, nie wdając się w żadne przekręcania i odmiany jego przepisów.

XII.

Wszystko kończy się skandalem, niestety, nieskandalicznym.

Kilkanaście dni upłynęło od powyżéj opisanych wypadków.

Na Babiéj wyspie żadne nowe nie zaszły zdarzenia. Rzeczy toczyły się tym biegiem, w jaki je wprowadziły anonimy i melancholja Pilskiego. Pani konsyljarzowa chodziła codzień rano na wody, gdzie jéj towarzyszył pan Baltazar, również z przepisu doktora Tuckiego używający wodnéj kuracji. Wszystkim pannom, począwszy od najstarszéj cioci Petroneli, aż do Kazi, która i przez ciąg tych dni kilkunastu dzieckiem jeszcze być nie przestała, znajdowały to nieprzyzwoitém i robiły z tego powodu swoje uwagi pani Gącińskiéj, Jadwidze i pani Porwiczowéj. Pani Gącińska nawet odradzała synowi wody, żeby nie dawał powodu do plotek, a Jadwiga i pani

Porwiczowa, która, o czém zapomnieliśmy w swojém miejscu nadmienić, zaprzyjaźniły się z sobą i najwięcéj dotrzymywały sobie towarzystwa, były zdania, iż w téj kuracji nic zdrożnego być nie może. Doktór jak zwykle odwiedzał swego pacjenta i nic o nim nikomu nie mówił, ale wychodził od niego coraz bardziéj zadowolony i z codzień pogodniejszą twarzą, pacjent ciągle był domatorem i unikał wszelkiégo towarzystwa, ale Kazia, któréj się udawało widywać go czasami przez okno, utrzymywała, że już nie ma melancholji i że mu dawny dobry humor powraca, co nowe nadzieje w serduszku schudłéj nieco i zmizerniałéj panny Izy rodzić zaczęło. Pan Rękalski jak zawsze pędził życie więcéj za domem niż w domu, zajęty studjowaniem smoka i kufelków, — słowem wszystko prawie było w tym stanie, w jakim cały bieg rzeczy na końcu poprzedniego rozdziału zostawiliśmy.

Jakkolwiek ranne spacery pani Tuckiéj z panem Baltazarem stały się już rzeczą powszednią, cudotwórcza przecież ciocia Petronela uważała, że ubliżyłaby swemu stanowisku na Babiéj wyspie i powołaniu staropanieństwa, gdyby co rano nie widziała ich na własne oczy wychodzących na wody. Z tego powodu każdodziennie wstawała bardzo wcześnie, daleko wcześniéj od wszystkich i z okna swego robiła obserwatorjum

Pewnego też prześlicznego sierpniowego poranku wstała jak codzień o świcie i siadła w oknie.

Po niejakim czasie aż podskoczyła na krześle i tak głośno krzyknęła „ach“ że aż obudziła Kazię.

Co było przyczyną tego podskoczenia i wykrzyknika powiedzieć nie możemy, bo ciocia Petronela nie mówiła o tém nikomu. Skorzystała tylko z obudzenia się Kazi, kazała jéj wstać, odziać się czém naprędce, pobiedz do panny Izy, i wezwać ją, żeby przyszła jak najprędzéj, a coś niezmiernie ciekawego zobaczy.

Kazia lubiła wykonywać polecenia, w których szło o zobaczenie czegoś ciekawego, trzy razy gorliwiéj niż wszelkie inne, zamiast więc saméj panny Izy obudziła wszystkie trzy siostry, które z nadzwyczajnym pospiechem, cichutko, na palcach przyszły do mieszkania cioci.

Ciocia powiedziała im coś do ucha, siostry aż klasnęły w ręce, i rozbiegły się na wszystkie strony. Panna Teodora poszła obudzić panią Porwiczową, panna Eleonora pospieszyła po ojca, panna Iza zawiadomiła wychodzącą właśnie na wody panią Tucką, że powinna zbudzić męża, służącą, dzieci, wszystko co żyło, i wszystkiemu w jak największéj cichości kazać się zebrać w ogródku.

Pani Tucka, również na ucho zawiadomiona o co chodzi, z pospiechem wzięła się do dzieła i nietylko zbudziła wszystkich swoich, ale panu Baltazarowi, który właśnie wychodził także na wody, zaleciła zbudzić matkę.

Pan Baltazar od czasu jak pił wody bardzo gorliwie spełniał wszystkie polecenia pani Tuckiéj, zastósował się więc i tą razą do jéj życzeń, i w ciągu najwięcéj dziesięciu minut cała Babia wyspa była na nogach, chociaż tylko panna Petronela najdokładniéj, a panny Rękalskie i pani Tucka z jéj opowieści wiedziały o naturze dziwu, jaki miano zobaczyć.

Potrzebaby już nie pióra, ale ołówka Kostrzewskiego, aby przedstawić czytelnikowi obraz jaki przedstawiała cała ta kawalkada osób z zaciekawionemi twarzami, w porannych strojach, jak się dało pochwytanych naprędce. Pani Gącińska miała przekrzywiony czepek, panna Teodora była w jednym trzewiku i jednym pantoflu, panna Iza „nie upomadowana“ jeszcze miała różnokolorowe włosy na głowie, doktor Tucki bez krawatu, okrył się paltotem, który zapiął na dwa tylko guziki, górnym na prawą a dolnym na lewą stronę, inni inne z sobą w pospiechu porobili cudactwa, od których dziwnie odbijał pstry jak zazwyczaj ale kompletny i przeznaczony do wyjścia na miasto strój pani Tuckiéj i gustowny jak zawsze negliż pani Porwiczowéj, która, nie wiedząc zupełnie po co ją zbudzono, ze zdumieniem przypatrywała się komicznéj grupie ludzi, giestami wzajem nakazujących sobie milczenie.

Gdy już wszyscy byli w komplecie, panna Petronela, główno dowodząca wyprawą, ruchem ręki wskazała bujnym bluszczem ocienioną altanę w ogródku i zakomenderowała marsz ku niéj.

Wszyscy posunęli się na palcach, ostrożnie, jakby tam miano schwytać na uczynku jakiego niebezpiecznego złoczyńcę.

W parę chwil potém zobaczono widowisko, na które ze zgrozą panny pozasłaniały sobie oczy.

W altanie siedziała na ławeczce Jadwiga, u nóg jéj klęczał Pilski.

Skandal był tak niesłychany, iż większość była pewną, że Jadwiga zemdleje, a Pilski schowa się pod ziemię. Tylko pani Porwiczowa uśmiechnęła się na ten gorszący widok, uśmiechnął się także i doktór Tucki.

Wbrew wszelkim oczekiwaniom, zdybana w takiéj pozycji para nie doznała zbyt gwałtownego przerażenia.

Pilski powstał spokojnie, wziął Jadwigę za rękę i rzekł do zgromadzonych:

— Przedstawiam państwu moją... żonę...

— A od kiedyż to się państwo pobrali? — zagadnęła pani Tucka.

Wszyscy byli przekonani, że usłyszą odpowiedź, iż młoda para pobrać się dopiero zamierza, ale Pilski odpowiedział spokojnie:

— Od roku przeszło, łaskawa pani.

— Tak jest od roku przeszło, — potwierdził doktor Tucki.

— Od roku rzeczywiście, — nadmieniła pani Porwiczowa.

Sztyletowe spojrzenia panien przeszyły panią Porwiczową, puginał wzroku pani Tuckiéj utonął w oczach jéj małżonka.

Wiedzieli tajemnicę i nie powiedzieli jéj nikomu, — było to zbrodnią tak niesłychaną na Babiéj wyspie, że kodeks miejscowy nie wyznaczał na nią kary, nie przewidując, żeby kiedy przez kogo popełnioną być mogła.

— Widzę, że to państwa dziwi, — zabrał głos znowu Pilski, — a przecież to rzecz bardzo prosta. Pobraliśmy się rok temu, na prowincji. Żona moja była aniołem, ja byłem człowiekiem cierpkim, opryskliwym, z niczego niezadowolonym, nieznośnym. Ona znosiła z niebiańską cierpliwością wszystkie moje wady, ale ja czułem, że jéj nie daję szczęścia... zażądałem rozłączenia i wymogłem na niéj, zmusiłem ją prawie, że przyzwoliła. Podzieliliśmy się majątkiem i postanowiliśmy wyjechać z miasta, każde gdzie zechce, nie mówiąc nawet drugiemu dokąd się udaje. Przypadek chciał, żeśmy oboje przyjechali do Krakowa i żeśmy nie wiedząc o sobie zamieszkali w jednym domu; przypadek wreszcie, któremu winien będę całe przyszłe moje szczęście, zrządził, że w tym domu znalazłem lekarza, który, znakomitą biegłością w swojéj sztuce...

— Tylko bez reklam, panie sąsiedzie, — przerwał doktor, — tylko bez reklam... wypraszam sobie reklamy.

— Który wyleczył mnie z choroby, co oddziaływała na mój charakter i czyniła pożycie ze mną niemożebném. Dziś jestem pewny, że będę mógł być inakszym, przyszedłem więc tutaj, aby u stóp Jadwigi błagać o przebaczenie i połączenie się na nowo. Oto cała zagadka, jak widzicie państwo, nietrudna.

Po tych słowach zapanowało głuche milczenie, które po niejakiéj chwili przerwała Kazia, ze zwykłą sobie niedyskrecją.

— Teraz rozumiem, — zawołała, — że pan nigdy ani pomyślał być narzeczonym panny Izy!

Słowa te wywołały piorun. Delikatna rączka pię-

knéj Izi z błyskawiczną szybkością spadła na plecy Kazi, a z ust jéj drgających gniewem wydarł się wykrzyknik:

— Masz głupia!...

* * *

Jedna tylko osoba na Babiéj wyspie nie była świadkiem téj sceny, — był to pan Porwicz, który w wieczór pracował długo, więc go żona zrana obudzić nie pozwoliła.

Pan Porwicz jednak bardzo krótko pozostawał w niewiadomości. Zaraz przy kawie żona opowiedziała mu całą historję o skandalu w altanie, opowiedziała tak wesoło, z takim humorem jak „Niebezpieczna“ Ujejskiego, a nawet zakończyła tak samo:

— Czy opiszesz to wierszem?

— Opiszę, — odpowiedział małżonek.

W kilka dni potém w jakiémś piśmie humorystyczném krakowskiém ukazała się weso o napisana „Legenda o Babiéj wyspie“, pióra p. Porwicza. Na tle téj legendy osnuliśmy naszą powieść, za którą każdego, komu się mogła niepodobać, najuroczyściéj przepraszamy.

Kraków i Poznań 1870-71.

KONIEC.

SPRZASKANA LUTNIA.

Z wspomnień ostatniego powstania

przez

Henryka Merzbacha.

ἀνάγκη.

(Dalszy ciąg.)

Syn.

Czy znasz ten kraj północy? kraj równin bez końca?
Śnieg na nich, jak daleko oko dojrzeć może...
Wśród gęstych chmur się kryje ciepły promień słońca —
I natura w około niby śmierci łoże.

Wszystko białe w téj śniegów pustyni szerokiéj —
Tylko sosna gdzieniegdzie wyrasta zielona —
Tylko wrona krakaniem przeszywa obłoki —
I krzyż samotny na świat roztacza ramiona!

Gdzieniegdzie sterczą niskie chałupy wieśniacze,
Jak gdyby je do ziemi przygniotła niewola...
Z daleka dzwon kościoła cichém echem płacze

I mówi do strapionych: „taka Boża wola!“
To kraj Polski! Tu żyją rycerze-oracze,
Co od wieków wolności uprawiają pola.

* * *

O wy, śniegiem pokryte samotne równiny!
Czemuż serce tak bije, gdy się do was zbliża?
Czemuż Alpy Helweckie i Włoch Apeniny
Nikną z myśli na widok ojczystego krzyża?...

Bo krzyż ten godłem bólu, krwi i łez Ojczyzny!
Cała Polska dziś jedno wielkie cmentarzysko...
Więc te wielkie do serca przyrosły płaszczyzny
Z grobami twoich ojców i z twoją kołyską!...

Jam wiele widział cudów po świecie dalekim —
Wiele wspomnień zostało po obcych krainach —
One ducha karmiły obcéj wiedzy mlekiem —

I o nich nieraz marzę w wieczornych godzinach...
Lecz jedną miałem prośbę z każdym życia wiekiem:
O Boże! daj mi spocząć na Polskich równinach!

* * *

I on wrócił — lecz znalazł dom łupem płomienia.
Chat nie ma — ludzi nie ma — są tylko mogiły —
Sowa tylko rozgłasza wyrok potępienia —
Wróg zniszczył w jednéj chwili, co wieki wznosiły!

Nad zgliszczami, dzwon tylko w dźwięków majestacie
Woła w niebo o pomstę! przy wrotach pies wyje —
Zamek zmienion w ruinę... w ostatniéj komnacie
Na łożu męczenniczém pan zamku — nie żyje!

„Mój ojcze!... głos ten rozbrzmiał jako jęk miljonów!
O, głos taki raz tylko z piersi się wyrywa
I zmienia całe życie w niezatartą bliznę...

To wykrzyk wszystkich cierpień — rozbrat wszystkich tonów:
Takim głosem — sztyletem niebiosy przeszywa
Syn, gdy traci rodzica. lub Polak ojczyznę!

* * *

Chciał zrazu w miecz uzbroić swe mściciela ramie —
Chciał się pomścić na wrogu. Chciał wśród dział odgłosu
Zagłuszyć tętna wspomnień... Lecz i rozpacz łamie! —
Więc żył jak kamień... nic już nie żądał od losu...

I szedł na groby z lutnią i z rozpaczą swoją —
Tam widział wschód księżyca i blaski przedświcia...
Ale tony milczały, co ból wieszcza koją:
Bo tylko życie zdolne zbudzić odgłos życia!

Raz jednak o zachodzie łza błysła na oku —
Wspomniał lata przeżyte z kochanką u boku —
I zoczył postać matki w przeszłości obłoku...

Pieśń Szopena zabrzmiała jak toń zagrobowa,
Co w swych falach łzy gorzkie przepłakane chowa...
I ze strun zardzewiałych wydobył te słowa:

* * *

„Duch jeden się po drugim budzi z pod kamienia —
Więc ja mówię do ducha: Duchu, do widzenia...
Na cmentarzu méj wiosny ciernie wspomnień rosną —
Więc ja mówię do wiosny: do widzenia, wiosno!“

„Ja już płakać nie mogę — serce mam z kamienia,
Więc wołam jak na puszczy: Ojcze! do widzenia!
Moja przyszłość, jak grób twój — mój żywot w żałobie —
Wolę grób od przyszłości... Do widzenia, grobie!“

Głos ten ginął bez echa jak skryte cierpienia
I zgasił nawet grobów błyszczące ogniki.
Nikt do śmierci nie powie: Śmierci! do widzenia!

Gwiazdy gasną i księżyc w chmur się kryje cienia —
Milkną duchy pod ziemią i nadziemskie krzyki...
Puszczyk tylko powtarza Trupie! do widzenia!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z Moich Wspomnień.

O życiu towarzyskiém w Warszawie

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Ciąg dalszy.)

W roku 1861, z 16 czerwca, odebrałam od pana Kazimierza Władysława list, która tak przykrą zwiastował nowinę:

„W smutnéj i rozpaczliwéj chwili piszę do Ciebie, kochana i droga Przyjaciółko: we wtorek, 11go b. m. wyczytałem z gazet tutejszych nadspodziewanie — że mi udziela dymisją margrabia Wielopolski dla dobra służby*) Wiadomość ta całkiem nieprzewidziana raziła nas piorunem. Tracę posadę, która mi przynosiła rocznie 11000 zł. pol. — A w téj chwili jestem bez dachu!!

Hrabia Ludwik Krasiński był zaraz u mnie i ofiarował mi w imieniu hrabiny Augustowéj Potockiéj posadę bibliotekarza w Wilanowie z pensją zł. pol. 5000 rocznie i mieszkanie. Alem podziękował... Jestem redaktorem Biblioteki warszawskiéj, mam tu obowiązki, pracę — a nadto wiążą mnie do Warszawy i różne inne okoliczności...."

Ta nagła i niespodzianie udzielona dymisja mężowi, który na niwie piśmiennictwa polskiego tak wielkie, tak bardzo wielkie położył zasługi; który ciągłą a pożyteczną pracą stał się wzorem godnym do naśladowania, — obudziła powszechne, ogólne współczucie i sarkania głośne. Wójcicki nadto i liczną ma rodzinę.

W pierwszéj zaraz chwili ofiarowali mu literaci książkę zbiorową — która w tymże samym wyszła roku, a o któréj wyraził się w liście do mnie, z dnia 9go lipca 1861 roku — „Będzie to droga dla mnie pamiątka, jak puhar ofiarowany mi z inicyatywy nieodżałowanego Augusta." —

Starano się przyjazno a usilnie o lepszą dlań dolę: o posadę — którą i wreszcie w Towarzystwie kredytowém pozyskał.

Pozwolę sobie także dołączyć tutaj i parę małych ustępów z szacownéj, poprzedniéj korespondencji pana Kazimierza Władysława:

„Warszawa 22 maja 1851 r.

Najjaśniejszy król pruski zwiedzał dziś Bibliotekę b. Uniwersytetu, Gabinet zoologiczny i kościoły. Towarzyszy mu wszędzie h. Henryk Rzewuski. Siedzi z przodu w jednym pojeździe z królem."

Znaną jest anegdotka, która wtedy obiegało Warszawę, że gdy król Fryderyk Wilhelm IV. zapytał cara o charakterystykę hrabiego Rzewuskiego, car mu odpowiedział dowcipnie: „Il est plus catholique que le pape, plus russe que moi, et plus aristocrate que tous les rois.

„Warszawa 18 lutego 1852.

Kochana i zacna Przyjaciołko nasza!

W ciężkiéj Twéj boleści nie mogę Ci przesłać żadnéj pociechy, bo to spoczywa tylko w ręku Boga! Spełniłaś święte obowiązki żony, jakiéj niełatwo można spotkać w dzisiejszém społeczeństwie. Jać to wiem tak blizko z Wami lat tyle żyjący. — Wiadomość o śmierci Augusta szczególne na wszystkich uczyniła wrażenie: nie wierzono z początku téj wieści, dopiero listy Wasze głęboki wywołały smutek. Mój Boże! czyż mogłem pomyślėć, aby człowiek tak silny poprzedził mnie do grobu? — Wiadomość o zgonie Augusta doszła mnie tegoż samego dnia, kiedy nasz przyjaciel Lisowski po ciężkich skonał cierpieniach — we trzy dni tylko po Auguście. Napisałem o zgonie jego do Biblioteki krótkie wspomnienie. Bądź Pani tak dobrą, i jak nieco utulisz się w boleści, opisz mi szczegółowo powody i ostatnie chwile jego, oraz tę część krótkiego życia, od wyjazdu z Warszawy. Pragnąłbym w obszernym życiorysie oddać należną cześć zmarłemu przyjacielowi, którego tak serdecznie kochałem." —

„Warszawie 9 maja 1852.

Czytaliście zapewne serdeczne wspomnienie w Gazecie warszawskiéj o Auguście przez J. I. Kraszewskiego. Ja chcę rozpisać się i wynurzyć co mi cięży na sercu i jakiego wart wspomnienia.

Byłem obecny czytaniu komedji u Korzeniowskiego, jego własnéj. p. n. Wąs i peruka. Jest to historyczna komedja, śliczny utwór, czysty jak łza, z myślą zacną i poczciwą. Nie może tu być graną. A będzie drukowaną naprzód przy Gazecie warszawskiéj, a potém oddzielnie w Wilnie.

A wczoraj byłem u Przeździeckiego. Czytał w licznėm zebraniu Wincentego Pola Senatorska zgodę. Ustępy śliczne, ale całość nie podobała się tyle. — Gdy ją czytano, towarzystwo całe unoszące się nad wielu ustępami, zapału swego nie umiało po polsku wyrazić, tylko po francuzku. Co aż śmieszyło! — Że też to téj nieszczęsnéj choroby pozbyć się nie możemy! że też z tych nie potrafimy wyzwolić się więzów! — Był obecnym i jakiś Monsieur l'abbé — oczywiście Francuz — w czamarce, mały, czupurny, ściskający paniom końce paluszków. Myślałem, żem się cofnął o lat pięćdziesiąt.

Wiesz już Pani o śmierci poczciwego Antoniego Muczkowskiego. Umarł nagle, z palcem na ustach — jakby polecił milczenie o sobie.

Z panien wszystkie siedzą — boję się, aby rutki nie siały. Młodzież rafinuje, a panny próżno oczkami wabią. Ale, są to strzały ślepemi ładunkami do grubych murów.

A proszę na grochu uklęknąć i zmówić modlitwę na intencją mojéj choréj żony, za to, żeś nas posądziła o zapomnienie. Całuję Twoje rączki i oddaję się z całą rodziną Twéj pamięci poczciwéj. K. W. W."

„24 czerwca 1862.

W Roczniku moim umieszczę wspomnienie Augusta z jego wizerunkiem. Będę je pisał za dni kilka, tylko z pilnych robót się otrząsnę. Będzie przytém wspomnienie o Brodzińskim z portretem przez Piwarskiego, i o Magnuszewskim. Rękopis cały dopiero we wrześniu będzie gotowy, bo oczekuję na przyrzeczone artykuły. Tytuł będzie taki: Album warszawskie, rocznik literacki na r. 1853."

„28 stycznia 1853 r.

Przeździecki literackie piątki otworzył u siebie. Schodzim się w surdutach, bo dam niema. —

Julian (Bartoszewicz) obszerny ma napisać życiorys Augusta. Zbiera jego dowcipy, nie wiem, jak to obrobi." —

„Warszawa 12 lipca 1855.

J. I. Kraszewski, pisząc o Powąskach, zeszyt III i IV rozbierając, wezwał Ciebie do napisania życiorysu

*) Pan Kazimierz Władysław Wójcicki był dyrektorem Biblioteki i drukarni senatu.

obszernego ś. p. Augusta — i wydaniu w nowéj edycji pism jego. — Kazałem zrobić portret Augusta. Będzie przy VI. zeszycie Powązek.“

Pomiędzy wielu innymi, wzywał mnie i nasz czcigodny dr. Karol Libelt do napisania życiorysu Augusta Wilkońskiego — ależ to jeszcze jest zawcześnie.

„Warszawa 15 marca 1856.

U pani Niny niema poniedziałków. Dom zamknęli. Na ś. Kazimierz z Resursy, gdzie mnie raczono, zaproszony byłem do p. p. Łuszczewskich, o 8éj wieczorem. Pili miodem starym moje zdrowie, a Deotyma ładny ustęp O miodzie czytała, który wydrukuję w Bibliotece Warszawskiéj.“

„Warszawa 10 października 1858.

Odyniec wydał Barbarę, dramat. Wszystkie nasze pisma rozbiory ogłosiły. Ale te tuzinkowe gazeciarskie krytyki nie mogą dosięgnąć wysokości utworu. To Ci tylko powiem, że Barbara należy do arcydzieł literatury naszéj, że po Panu Tadeuszu obok Mohorta, jeżli nie wyżéj stoi. Przeczytaj, będziesz miała rozkosz duchową prawdziwą.“

„Warszawa 8 stycznia 1870.

......Nie sądź, droga Pani, ażebym ja i żona zapomnieli kiedy o Tobie: w żywéj pamięci zachowujemy drogie wspomnienie chwil w domu Waszym przebytych, i kochanego, Augusta. Ale coraz smutniéj mi na świecie, coraz więcéj cofam się w zacisze kółku rodzinnego, bo samotnieję z każdym rokiem. W krótkich latach straciłem przyjaciół, jak J. Ch. Sławianowskiego i dra. Rakowskiego. Z dawnych zostało zaledwie kilku — a z najdawniéjszych tylko W. A. Maciejowski, a drugi J. N. Leszczyński“ —

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KRONIKA TYGODNIOWA.

Nadchodzą głodne lata kronikarskie, a w śpichrzu moim ani okruszynki zapasu. Dopóki było, rzucało się hojnie, obyczajem polskim, dzisiaj pora smutnych rozpamiętywań nad okropnemi skutkami marnotrawstwa... Przychodzą mi refleksje jedne za drugiemi, coraz rozpaczliwsze i składają się na tren żałobny nad losem kronikarzy w ogóle, a w szczególności poznańskich. Czy pomyślałaś kiedykolwiek piękna czytelniczko, niedbałém okiem przebiegająca te karty, ile trudu i zaparcia się potrzeba na ich ułożenie. Kronika — jest to beczka Danaid. Wlewane w nią potokami myśli, uczucia, fakta, spostrzeżenia, nikną nie zostawiwszy po sobie śladu ani w pamięci czytelników, ani w działalności ich autora. Jak motyle, ten sam dzień mają za kołyskę i za grób. Za kilka tygodni przejrzane, są cery zżółkłéj suchych liści jesiennych, a z efemerycznéj ich woni ani jeden atom nie zostanie. Nie policzy ich Krytyka ani Sława nic z nich nie rozniesie na skrzydłach. Wolałbym się był przed niemi narodzić i nigdy nie być kronikarzem, a mają one niedawną genealogję. Zrodzone z bratem swoim feljetonem we Francji z Ojców Jules Janin'a i Trimma, są pochlebstwem dla zepsutego literackiemi ciastkami podniebienia publiczności, która chce prędko się nasycić i łatwo zapomnieć. Duch czasu więc wytworzył w literaturze ten rodzaj. Duch czasu! Zadrżałem napisawszy te słowa. — Jednodzienność i schlebianie kapryśnemu ogółowi są dzisiaj w piśmiennictwie nie tylko cechą feljetonów i krytyk! Czy uważaliście jak od pewnego czasu literatura paszkwilów i epigramatów w różnéj formie urosła? Najpierwsze z imion naszych, najpotężniejsze z talentów téj zarazy ustrzedz się nie mogą. — Typy w powieściach i komedjach są fotografjami z natury, a im większe jest podobieństwo i karykaturalniéj oddana postać, tém większa uciecha, zajęcie i zachwyt czytelników. Zapytajcie Krakowian o istotne nazwisko osób w komedjach Bałuckiego? — Powiadają, że p. Radzca widząc siebie, obraził się mocno. — W „Mętnéj wodzie“ można było badawczém okiem dostrzedz znaną postać Redaktora, — w „Pałacu i Folwarku“ spotykamy także naszych znajomych, a powieść Lubowskiego „Aktorka“, jest tylko pomstą prywatną rozłożoną na rozdziały. — Alfred de Musset gdzieś powiada, że każdy pisarz ma dwóch panów wymagających i nieubłaganych: Teraźniejszość i Przyszłość. Każdy z nich chce mieć go całego. Ale biada tym, co nie umieli rozdzielić daniny swego talentu dla obudwu i stali się wyłącznemi. Czeka ich albo zapomnienie wraz z Teraźniejszością, albo późna i zagrobowa od Przyszłości nagroda!...

Jednakże powodzenie jest wielką pokusą. Wielkie talenta mają niewiele jeszcze takich grzechów, — ale mierności, które chcą co rychléj wziąść swoją zapłatę — a w tym rodzaju literatury najłatwiejszą mają praktykę, rzuciły się nań i płodzą masy jednodziennych robótek.

Sztuka zaś cierpi na tém i rodzi potwory. Pisarz jednodzienny ani począć w spokoju, ani wypiastować i wyrobić w sobie nie może — bo czas nagli — a wyobraźnia zabita zbyt niedawną rzeczywistością, uczucie i refleksja zaćmione namiętnościami, które nie potrafiły jeszcze ustać się i od osobistych pierwiastków uwolnić — odmawiają swojéj posługi. Ztąd fragmentaryczność, ztąd gorączkowość, ztąd chorobliwe oryginalności w pracach nowszych pisarzy. Zanadto się spieszymy. Czyżbyśmy już byli tak blisko śmierci? Ten ostatni wyraz który wpadł mi pod pióro, cuci myśl moją nagle. Oglądam się za siebie i widzę pół arkusza medytacji. Czuję że jestem zgubiony, jeżeli nie potrafię czemkolwiek skutecznie się obronić. — Czytelniku lub czytelniczko! od trzech dni nie złożyłem parasola, — i w téj chwili deszcz ulewny tętni po szybach, a po tak pięknie brukowanych ulicach Poznania łodzią by pływać można. Cóż dziwnego jeśli splen a mędrkowanie człowieka napada? Témbardziéj, jeżeli ów „człowiek“ zrobił dopiero co odwrót od Xenofontowego trudniejszy, pod strugami spadającego deszczu z góry, z boków obryzgiwany od uciekających dorożek i powozików, — zawiedzionych na ogłoszonéj majówce przemysłowców — w miejsce któréj tylko plac pusty i płócienne budy żałośliwego aspektu ujrzeć było można Piszę to w poniedziałek.

Chcąc otrząść się z piołunowego smaku rozmyślań i zawodów pójdę posłuchać jednéj z pięknych piosneczek Hertza, które świeżo wyszły u Żupańskiego, albo zapytam się o pierwszy numer „Osy“ w któréj żądło, dalibóg, nie wierzę. — A wracając jestem pewny, że znajdą już u siebie mojego przyjaciela, kruczowłosego maëstro, brzemiennego argumentami, które mają mi dowieść

I. że jestem profan jak wszyscy i nieznam się na muzyce.

II. że Rossini pisał tylko dla Aubera — a Auber dla Rossiniego; —

III. że nie mam prawa twierdzić, jakoby najpiękniejszą z powyższych piosnek Michała Hertza była „Młodo Zaswatana“

Napisawszy, co u góry, chciałem już złożyć spracowane pióro, — ale widok przyniesionych świeżo gazet przypomniał mi jeszcze jeden obowiązek.

Chcę pobłogosławić z mojego skromnego zakątka szlachetnym usiłowaniom naszych posłów, na Sejm pro-

wincjonalny, podnoszących w téj chwili właśnie kwestję języka polskiego w naszych szkołach i wnoszących o rozciągnięcie instrukcji z r. 1842 na świeżo powstałe zakłady naukowe. — Bogdajby ich gorliwość i wymowa, — nie były marnym protestem — głosem wołającym na puszczy — któremu echo niemieckiem szyderstwem na polskie wołanie o sprawiedliwość odpowiada.

Wł. Ordon.

Korespondencja z Warszawy.

Warszawa w czerwcu 1871.

Już dość dawno do was nie pisałem, to téż duży snopek nowin się zebrał, z którego poczne sypać owe plotki, fakta małe, gawędy i dzieje nasze, łzą czasem skropione, na wasze, mgłą Popielową owite, niwy. Jak my żądni jesteśmy wieści od was, od wszystkiéj braci naszéj, tak zda mi się, że i wy podobnie uczuwacie tęsknotę jakąś, kiedy nic nie ma z Warszawy, kiedy nawet jaskółka na skrzydłach swoich nie przyniesie nowin i tchnienia naszego. Owóż jest nam najprzód bardzo a bardzo gorąco — poczynamy się kąpać w Wiśle, która płowiejąc od słońca płowego na niebie, pienić się poczyna na Święto-Jańską hulankę. Panie nasze o ile to jest możebném ukazują się jak najlżéj ubrane na czém my tylko, my jaszczurczy ród męzki, jak mówią wszystkie stare uwiedzione panny, zyskać możemy, oglądając ślicznie zarysowane nóżki i kibicie... Ach! mówiąc o nogach, o téj, nawiasem powiedziawszy, ważnéj części ciała niewieściego i męzkiego, należy mi wspomnieć o nogach miss Laury i miss Spellerini, które chodziły po linie. Pulchne dwie Amerykanki czy Kochinchinki a najprędzéj obywatelki z Pacanowa albo Mikstatu, wyprawiały nam przez parę tygodni istne cuda w towarzystwie pana Olszańskiego, który już jest najczystszéj krwi tuziemcem. Bodajto

„Z kochankami w niebo wzlatać
Włosy splatać i rozplatać“

jakby powiedział ś. p. Juliusz. Lecz mniejsza o to — najważniejszą, najwięcéj sprawiającą sensacji częścią widowiska, były nogi obu ekwilibrystek — pulchne, olbrzymie, okrągłe, żelazne, mianowicie w górnych strefach, jakby powiedział poeta jaki, przypominały mi ciągle pałkę Herkulesa w Ojcowie albo na starych obrazkach z przeszłego wieku. Czegóż dowodzą takie nogi?... ale rzućmy tę rozprawę o nogach i mówmy o czémś poważniejszém — ale o czém?... Otóż to kwestja — that is the question. — Najlepiéj, mojém zdaniem, nie patrząc klassycznego porządku, zróbmy z tych nowin warszawskich rodzaj bigosu hultajskiego... Wybierzemy więc najprzód mięso a potém podamy wam na wety kapustę. Więc sięgamy, jako literat, po wieści literackie... Kosa, wnuczka Kolców, owych humorystycznych kartek Dzikowskiego, ukazała się różowa i rumiana jak dziewczyna w majowy poranek i usiłuje kosić wszystko, co wyskoczyło nad poziom jéj widzenia rzeczy. Więc najprzód palnęła sążnistą apostrofę do Kraszewskiego... ale sami to sobie przeczytacie, ja milczeć wolę o Ryczywole... Dzikowski spuścił przyłbicę i pod tajemnym znakiem puszcza się w nierówną walkę z olbrzymem... Ach! ten olbrzym poczyna zasypiać. Mówię o Kraszewskim, który chcąc rozgrzać skrzepłe członki siwéj staruszki Gazety Warszawskiéj, podarował jéj płomienną i żelazną w nagości swéj powiastkę p. t. Zemsta Czokołdowa. Ktoś dowcipny nazwał tę zemstę Czekoladową, tak bowiem jest słodka, brunatna i ckliwa, jak czekolada. Są tacy co lubią czekoladę — ja nie — ale de gustibus... Gazeta Polska drukuje się nowemi czcionkami i wyszukawszy gdzieś Zbigniewa, produkuje jego nową powieść p. t. Niecnota. Późniéj powiemy wam więcéj o téj Niecnocie Gazety Polskiéj... Opiekun Domowy ratujący się od głodnéj śmierci pożeraniem starych drzeworytów i artykułów ś. p. Magazynu Powszechnego, przeszedł na własność p. Bogumiła Aspisa, a jak skandaliczna kronika Warszawy opiewa, pani M... która szczególną sympatję czuje nie tak do Opiekuna Domowego jak do Opiekuna Aspisowego. Wreszcie wszyscy pod naciskiem tropikalnego upału poczynają spać.. byle nie snem nieprzespanym, chociaż zapowiadają mnóstwo nowych pism. Oczekujemy na nie w milczeniu... chcielibyśmy tylko, ażeby te noworodki nie przejadały na nowo starych rzeczy, jak to czyni Opiekun i Przegląd Tygodniowy, który zapowiada, że będzie drukował powieść nową Jeża p. t. Wrzeciono, znaną już od kilku lat w literaturze...

Teatra ogródkowe zwabiwszy do siebie wszystkie aktorskie truppy z prowincji, przy szumie pieniącego się bawara, bawią niewybredną publikę parodjami Szajloków, jak to ma miejsce w Tivoli. — Zresztą cicho i słodko nam. Mieliśmy niedawno święto galowe i amnestją, bo Najjaśniejsza Następczyni tronu raczyła powić syna czy córkę. Zawiadamiając więc was o tak rozkosznéj nowinie i raczeniu takiém nadzwyczajném, żegnam serdecznie.

†

PRZEGLĄD LITERACKI.

Dziennik oficera armji nadreńskiéj Karola Fay, podpułkownika z głównego sztabu, — przekład Edmunda Calliera.

Pod powyższym tytułem w tych dniach opuściło prasę nakładem Ludwika Merzbacha dziełko, będące ustępem z świéżo rozgranéj tragedji. Tych, którzy z takiém zajęciem ścigali cały przebieg ostatniéj kampanji i wśród sprzecznych gazeciarskich pogłosek z mozołem zdobywali sobie prawdziwe o faktach pojęcia, książka ta, będąca codziennymi zapiskami naocznego, sumiennego świadka, jak to uzna każdy, czytając jego zdrowe a bezstronne poglądy, niejedno zdanie sprostuje, niejeden fakt wyjaśni. Że dzieło to nosi na sobie cechę bezstronności, tego najlepszym dowodem jest, że o wydaniu francuzkiém krytyka niemiecka wyraziła się przychylnie, jakkolwiek autor bynajmniéj Niemców nie oszczędza.

Z sercem przepełn oném boleścią patrzy na to, co w koło niego się dzieje, na klęski ukochanego przez siebie kraju; w każdém słowie czuje się, jak on głęboko kocha Ojczyznę, jak pragnie i wierzy w to, że powstanie silniejszą niż nią była przed upadkiem. To jednak nie przeszkadza mu widzieć wszystkich stron ujemnych swego narodu, wszystkich wadliwości dzisiejszego ustroju Francji a zwłaszcza téż armji; oto, co w tym ostatnim przedmiocie mówi, podając koniecznéj reformy środki:

„Sądzę, że odtąd nikt już się nie odważy występować przeciwko służbie obowiązkowéj w szeregach ojczystych, przeciw armjom stałym i przeciwko podzieleniu ich na dywizje nawet w czasach najgłębszego pokoju. Również mniemam, że teraz każdy pojmie nagłą potrzebę powrotu do sprężystéj karności, za pomocą któréj moglibyśmy odzyskać utraconą, niezaprzeczenie, siłę. Wiém wprawdzie, że to rozprzę-

żenie karności pochodzi głównie ze stanu naszego społeczeństwa, lecz sądzę, że można je przełamać ścisłém praktykowaniem zewnętrznych oznak poważania, zmuszeniem wszystkich stopni żołnierzy do noszenia mundurów, sprawiedliwą surowością i wielką powagą w komendzie. Tę powagę zaś uzyskać tylko można, dobierając sobie starannie korpus oficerów, wymagając od nich wykształcenia, któreby ich podniosło w oczach żołnierzy, a nadewszystko stawiając na pierwszym planie ideę sprawiedliwości, w imieniu któréj wypada zawsze wynagradzać najgodniejszych, a nie — jak to zbyt często się zdarzało, — najzręczniejszych lub najłatwiéj się naginających.“

„Postawiwszy te główne zasady, zdaje mi się rzeczą niezbędną, następujące rozebrać kwestje. Przedewszystkiém trzeba pewne zmiany pozaprowadzać w ministerstwie wojny, zkąd wychodzą wszystkie rozkazy dotyczące ruchów armji. Organizacja tego ministerstwa jest ze wszech względów ujemną; jest ona tém, czém była, gdy generał Foy w tak żywych a pełnych prawdy wyrazach wykazał izbie wszystkie jéj słabe strony; jest ona nawet znacznie niedołężniejszą, jak nią była podówczas, gdyż od lat pięćdziesięciu zawikłało się w niéj jeszcze więcéj. To też naprzód trzeba jéj nadać pewną jednolitość, stawiając ponad dyrektorów, szefa sztabu głównego armji lub ministerstwa, — nazwa w téj mierze jest obojętną; — jest to jedyny sposóbześrodkowania różnych wydziałów i zapobieżenia temu, aby z ministerstwa nie rozchodziły się sprzeczne rozporządzenia, jak to miało miejsce w obecnéj kampanji...“

Wedle autora głównym powodem klęsk obecnéj wojny była chwiejność wodzów bezbarwnych, źle uorganizowana armja i nieład panujący we wszystkich sferach rządu; nie zaś, jak to dość ogólnie w ostatnich czasach powtarzano, rdzenna demoralizacja narodu. Prawdą jest, że drugie cesarstwo rozmyślnie wszelkich dokładało starań aby zdezorganizować naród; — nie dokazało ono tego jednak w zupełności; Francja bowiem zbyt wiele w swém wnętrzu posiadała zdrowych, żywotnych soków, zbyt niedawno jeszcze dawała dowody swéj wielkości i gorącego patrjotyzmu aby rozkład mógł być tak szybkim. Twierdzenie o gruntowném zdemoralizowaniu jéj do głębi rozsiewaném było wyłącznie przez jéj nieprzyjaciół a powtarzaném przez tłumy, które zazwyczaj wraz ze zwycięzcą wołają: Vae victis! Czytając dziennik Karola Fay, nie możemy się wstrzymać od przyznania, że w kraju, w którym tak jak on myślą i czują, zepsucie nie rozsiadło się jeszcze zupełnie, że kraj taki ma jeszcze przyszłość i to przyszłość niedaleką. — Za dowód zaś, że nie sam autor tego pamiętnika tak myśli, służyć może, przytoczony przez niego wyjątek z zapisków majora David, z armji Mac Mahona, poległego pod Sedanem; dziwnie rozczulającym jest ten dziennik swą prostotą a wzniosłością razem. — Jakże jaskrawo odbijają poglądy tych ludzi od chwiejnych, egoistycznych postaci ich wodzów! Możnaby tu o Francuzach powtórzyć, co nasz wieszcz o nas powiedział, że: „nasz naród to lawa, u wierzchu błotna i plugawa“, w jéj wnętrzu jednak jest silny, czysty i potężny żywioł — ogień; rzeczywiście wszystko, co brudne „błotne i plugawe“ spłynęło w téj ostatniéj katastrofie u samych wyżyn.

Wróćmy jednak do treści, opisywanego przez nas dzieła; autor dawszy nam obraz bitew pod Sarrebrueck, Weissenburgiem, pod Forbach, Woerth, Borny, Rezonville, pod Gravelotte i Noisseville, w których był aktorem, wprowadza nas wraz z armją Bazaine'a do Metzu i tu opisuje owe powolne a straszne konanie. Im bliżéj jesteśmy okropnego dnia kapitulacji, tém więcéj współczujemy z autorem i niejeden z tych nawet, którzy nie mogą Francuzom darować niepojętych klęsk i niepowodzeń, uczuje dla nich coś nakształt żalu i przebiegając tę kronikę cierpień, skłonniejszym się stanie do przebaczenia.

„Miasto Metz przedstawia codzień więcéj widok miasta oblężonego; składy wyczerpują się; dzieci i osoby dorosłe wyciągają ręce po ulicach; bramy otwierają się dopiéro o godzinie siódméj z rana i zamykają się o czwartéj po południu, ażeby tym sposobem, o ile się to da wykonać, ograniczyć pobyt w mieście naszych żołnierzy, którzy pomimo wszelkich zakazów, przychodzą tu się posilać. — Wszędzie pytają się jedni drugich, co się z nami stanie; pogłoski o przybyciu cesarzowéj, o kapitulacji armji, o poddaniu miasta, — rozchodząc się na wszystkie strony, wywołują dzisiaj raczéj zwątpienie, aniżeli wzburzenie umysłów. Gazety zawierają jeszcze tu i owdzie artykuły o walce, aż do ostatniego trupa, zagrzebanego pod ostatnim domem miasta, zamienionego w popiół. — Są to jednak tylko artykuły gazeciarskie; — nigdzie w rozmowie nie spotykam się z takiém energiczném postanowieniem, które było mogło (bo dzisiaj stało się niedołężném) nas wyrwać z tego położenia przed miesiącem jeszcze...“

„Ach! — jak doskonale obliczyli nasi nieprzyjaciele obecne skutki; od rokowań do rokowań doprowadzili nas do tego końca ostatecznego, gdzie najodważniejsi z pomiędzy nas uważać muszą za szaleństwo każdą stanowczą wycieczkę...“

„Dziś rano zbiera się rada wojenna. Nie mamy już co liczyć na jakiekolwiek prawdziwie męzkie postanowienia; — żaden ze zgromadzonych tam wodzów armji francuzkiéj nie wypowie jedynych słów, któreby mogły być honorowém wyjściem z naszego położenia: „Moriamur et in media arma ruamus!“ — Nie mamy już dział, nie mamy konnicy, — ale jest nas tutaj przeszło sto tysięcy ludzi! — Od tych jedynie, którzy tym stotysięcznym zastępem dowodzą, zależy wypowiedzenie słowa okropnego: „Moriamur!“ — Ale na to trzebaby było, aby system zniewieściały nie był oduczył od wielu lat długich tak oficerów jak żołnierzy, a nawet w ogóle obywateli kraju od myśli o niemożebności poświęcenia się dla ojczyzny. — Ojczyzno! święte słowo, na którego wspomnienie drgają najszlachetniejsze struny naszego serca, — gdy słyszymy opowiadanie o świetnych czynach mężów, którzy sobie zasłużyli na twą wdzięczność, Ojczyzno, — trzeba więc cię zamienić na wygnanie i odtąd nic już nie módz uczynić dla twojéj obrony!...“

Wiele jeszcze trzebaby podobnych przytoczyć wyjątków, aby dać obraz położenia tych ludzi idących ze straszną samowiedzą ku przepaści, do któréj ich popycha wola czy niedołęztwo dowódzców. Jest to rzeczywiście, jak powiada autor, położenie skazanego na śmierć.

Dokładne pojęcie wszystkich opisów bitew ułatwia niezmiernie czytelnikowi znajdująca się przy tém dziele mappa działań wojennych. — Dodać tu także należy, że autor „Dziennika“ był w sztabie głównym Bazaine'a, zna więc dobrze i szczegółowo a opisuje wiernie cały przebieg wypadków.

„Ogłaszając niniejszą pracę“, mówi on na wstępie, „mam podwójny cel na oku:

Sprostować wiele zdań mylnych o armji, która tyle wycierpiała w Metz;

Wykazać naglącą konieczność reorganizacji wojskowéj, któraby w przyszłości uchroniła od podobnych katastrof.“

„Powinniśmy skorzystać z téj strasznéj nauki; od dzisiejszéj chwili, nie zwlekając, powinniśmy się przygotować do walki, która bezzawodnie lada dzień rozpocznie się na nowo, chybaby ją zażegnało umiarkowanie naszych przeciwników. Jak my niegdyś, Prusacy oddali nam w lat kilka Austerlitz i Jenę; ale zdaje się również, że jak my nie będą umieli zachować rozumnego umiarkowania w powodzeniu...
Niechże urzeczywistnią swe groźby, a nie ustalą pewnie

pokoju, przeciwnie zgotują wojnę, zażartą wojnę w przyszłości; dążą one do nowego 1815 roku! — Wskazówki więc, jakie daje historja, na nic się nigdy nie zdadzą ludom! Czyż Prusy już zapomniały, że zwyciężone, zgniecione przez Napoleona Igo, w lat kilka po swéj klęsce stały się mieczem w ręku skoalizowanéj przeciw nam Europy? Czyż nie powinnyby się obawiać, aby inne mocarstwa, zaniepokojone ich wielkością, pamiętne wreszcie przysług, które wspaniałomyślnie kilku z nich oddaliśmy, nie skorzystały z naszéj nienawiści dla zdobywcy starych naszych ziem francuzkich i nie podały nam zemsty w ręce?

Do dzieła więc, jak tylko skończy się ta straszna męczarnia. Do dzieła, z systematem, ze spokojem, z prawdziwéj narodowości poczuciem, ale pod tarczą wolności!...“

Takiém wezwaniem rozpoczyna autor swą pracę a raczéj ją kończy, bo wstęp ten jest wynikiem tego wszystkiego, co w swém dziele wypowiedział, jest odbiciem przewodniéj jego myśli. — Książka ta w tak krótkim czasie doczekała się już trzech wydań francuzkich, co jest najlepszym dowodem jéj ważności w obec dzisiejszych wypadków; równocześnie z polskiém ukazało się i niemieckie tłomaczenie, również nakładu L. Merzbacha. — Σ.

TEORJE POLITYCZNE XVI WIEKU

skreślił

Dr. W. M. Olendzki.

Wstęp.

Pogląd na spory polityczne w wiekach średnich.

§ I.

Przed wyjściem na właściwy tor naszego przedmiotu, jesteśmy niejako zmuszeni rzucić pobieżny rys przyczyn decydujących ważny dla nauki politycznéj ruch w w. XVI, odsyłając ciekawego szczegółów czytelnika do właściwych źródeł[1]). —

Powstający i rozszerzający się pośród coraz bardziéj ulegającego wewnętrznemu rozkładowi, starożytnego społeczeństwa Chrześcijanizm, smutnemu losowi państwa zapobiedz nie mógł i nie chciał. Miłość Boga i bliźnich, odwaga i cierpliwość w cierpieniu, którego unikać nie należy, pokora, czystość i skromność, nieograniczone zapomnienie samego siebie, jakie najwznioślejsza nawet dusza raczéj pomyśléć niż wykonać zdoła, oto treść i forma téj najdoskonalszéj idei cnoty ludzkiéj. Cała wzniosłość jednak téj nauki odnosić się tylko może do istoty moralnéj, do życia wewnętrznego ludzi, nie zdradzając najmniejszéj pretensji do kierowania życiem społeczném lub rządzenia państwem. Celem jéj jest udoskonalenie duszy. Wzniosła postać Chrystusa nie nosi w sobie najmniejszéj cechy pretensji do ustanawiania reform politycznych, lub panowania światu. „Przyszedłem aby służyć, nie zaś aby mi służono“[2]). — „Królestwo moje nie jest z tego świata“[3]). Oddając się jednak wyłącznie i zupełnie uszlachetnieniu duszy, dając jéj cierpliwość i miłosierdzie za przewodnią ideę, sprowadzając nawet chaotyczne pomięszanie téj chrześcijańskiéj idei obowiązku z ideą filozoficzną prawa, obojętność na rzeczy doczesne, pogardę dóbr i interesów ziemskich, podkopując zatém cały na rozumie i czynnéj energji ducha oparty porządek społeczny, aby na to miejsce sprowadzić apatyczną ciszę, wyczekującą czynów niewiedzialnego opiekuna, i niepodobnego zastąpienia natury przez cnotę, nie neguje jednak Chrystus istnienia władzy świeckiéj. „Oddaj Bogu co boskiego, a Cezarowi co do niego należy“[4]). Cezarowi należy się trybut, ten znak poddaństwa cywilnego, Chrystus sam trybut opłacał i swoim uczniom płacić nakazał, uznawał zatem panowanie władzy świeckiéj nad światem zewnętrznym, a żadne słowo Jego ani za porównaniem warunków socjalnych nie mówi, ani téż wyższości naczelnika kościoła, nad naczelnikiem państwa nie ustanawia. Nie postawiwszy jednak żadnych norm, regulujących wzajemne stosunki królestwa bożego, jakie na świat sprowadził, z istniejącą od początku świata władzą cywilną, położył Chrześcijanizm zaród sporów o granicę kompetencji obu tych władz, które stawszy się udziałem wieków średnich, okrutne klęski cywilizacji rodu ludzkiego zadały. —

[1]) Godniejsze uwagi dzieła w tym przedmiocie są:
J. Ch. Majer: Die beiden höchsten Würden des heil. Röm. Reichs. Eichhorn. Deutsche Staats u. Rechtsgeschichte. Stahl. Gesch. der Rechtsphil. str. 45 i n. — Himly. De imp. nat. Germ. indole. Pütter. Specimen jur. publ. et gent. medii aevi. Brenker, Hist. crit. Phil. t. 3. Schön, de Lit. pol. medii aevi. Janet, Hist. de la Phil. t. 1. L. II. e. 1—4. Tennemann, Gesch. de Philosophie. R. v. Mohl, Gesch. u. Lit. der Staatsw. t. I. —

[2]) Mateusz XX, 28.

[3]) Jan XVIII, 36.

[4]) Mat. XXII, 17, 21, Łuk. XX. 22, 25, Mar. XII. 14, 17.

§ II.

Pierwsze 4 wieki ery Chrześcijańskiéj są najwspanialszą epoką w dziejach starającego się o własny byt młodego kościoła. Przez cały ten przeciąg czasu, nieśmiertelne zasady Chrystusa przestrzegane są ściśle lecz bez przesady i z wielkiem umiarkowaniem. Apostołowie i ojcowie kościoła pośród cierpień i prześladowań z niezłomną stałością starań dokładają, aby uszlachetnieniem duszy pogan, coraz szersze koło uznania zasad Chrystusa zakreślać i tym sposobem trwały byt nauce swéj zapewnić. Zdala od dowolnych, późniéj dopiero rozzuchwalonych, interpretacji słowa bożego, rozszerzają go Apostołowie i ich następcy z całą względnością winną istniejącym stosunkom i uświęconemu tradycją porządkowi rzeczy. Względność ta szczególniéj godną jest podziwu w kwestji niewolnictwa i w kwestji dotyczącéj własności posiadanych dóbr. W obec Chrystusa, wyobraziciela idei miłości braterskiéj i miłosierdzia, różnic nie ma, nie ma tu ani panów ani niewolników, ani bogatych ani biednych; podział ten jednak może zachodzić w danych stosunkach państwa ziemskiego, i jest uznany zgodnie przez Apostołów i Ojców kościoła. „W Chrystusie, mówią Piotr i Paweł[1]), niema niewolników, w Chrystusie wszyscy są równi i wolni“ daléj jednak w tym samym miejscu następują słowa „niewolnik winien być posłusznym swemu panu, pan zaś ma być łagodnym dla niewolnika.“ — Augustyn[2]) zaś motywuje i stawia nawet pewną zasadę niewolnictwa. Według niego w porządku naturalnym, ustanowionym przez Boga człowiek rozkazuje tylko zwierzętom, nie zaś swym bliźnim, ponieważ jednak grzech obalił porządek naturalny, to niewolnictwo zostało zaprowadzone jako kara za grzech i istnieć będzie tak długo aż wszelka władza doczesna zostanie

[1]) do Efezów — VI, 5, 6, 9. —

[2]) De civ. Dei l. XIX, 14—15. i Quest. in Exod. LXXVII.

obaloną t. j. kiedy państwo boże zejdzie na ziemię i „Bóg będzie ze wszystkiemi i we wszystkich.“

Brak wszelkiéj wartości tego mistycznego motywu Ś. Augustyna nadto jest widoczny, notujemy go jednak ze względu iż po Arystotelesie, Augustyn jest drugą powagą przyświecającą ciemnicy umysłowéj w wiekach średnich i cytowaną aż po wiek XVII. W podobny sposób przemawia Augustyn w innéni miejscu [1]) za prawem własności, którego opiekunami są królowie, „przez których Bóg nadaje ludziom prawne normy.“ Oświadczając się za prawem własności, zrobił Augustyn znaczny postęp, albo raczéj uznał stanowczo to, co Apostołowie i Ojcowie aż po czasy Apologistów bardzo niejasno i niechętnie wyrażali. -- Powiedzenie Chrystusa, iż, aby zostać doskonałym, potrzeba pozbyć się dóbr na korzyść biednych, w pierwszych czasach zapału było brane i wykonywane dosłownie, jak o tem świadczą Justyn, Tertulian i Jakób [2]), — Ambroży [3]) zaś tak daleko się posuwa, iż tylko bezwzględną równość stanu natury uważa za dzieło Boga, normy zaś prawa za dzieło uzurpacji. Pomimo tego niesłusznie byłoby twierdzić, iż Chrześcijanizm obalił zupełnie własność, i niesłuszniéj jeszcze opierać się na cytowanych miejscach w interesie sprawy socjalistycznéj, Chrześcianizm bowiem ukazując w dali ideał doskonałego samozapoznania, zostawiał człowieka w zupełnym posiadaniu wolnéj woli, którą powodując się, mógł każde dobra swe zachować, lub téż oddać je potrzebującym. Wreszcie Ojcowie zgadzali się, iż bogactwo i bieda istnieją na to, aby bogacze mieli sposobność stawania się miłosiernemi, a biedni cierpliwemi, inaczéj bowiem zostały by te główne cnoty bez żadnego praktycznego znaczenia. — Widzimy także, iż rozprzestrzeniony i ochłodzony z pierwszego zapału Chrześcijanizm, coraz to więcéj godzi się z potrzebami życia doczesnego. Oprócz Augustyna staje w obronie prawa cywilnego między innemi Klemens z Aleksandrji. W rozprawie swojéj: „któren bogacz może być zbawiony?“ interpretuje on słowa Chrystusa „oddaj, co masz biednym“ w zupełnie nowy sposób. Słowa te, mówi on, nie mają być brane literalnie, słowa te nadto nie mówią nic nowego, w starożytności bowiem widzimy wielu filozofów, którzy pogardziwszy bogactwem, oddali się nauce, aby pozyskać rozgłos i sławę, słowa te nie uczą nas bezwzględnéj pogardy dóbr, lecz nakazują nam raczéj wygładzić z naszego umysłu, próżną chełpliwość z posiadanych bogactw, miłość złota, brudną chciwość, niepokój i skłonność do nadużyć. Chrystus, mówi on na innym miejscu, wymaga przedewszystkiem pozbycia się miłości złota, a dopiero potém samegoż bogactwa! Podczas gdy kwestja niewolnictwa i własności z tejże saméj zasady różnie a sprzecznie sądzoną była, zgadzano się jednomyślnie na uznanie konieczności wolności sumienia. Zagrożony we własnéj eksystencji kościół walczący, inaczéj postępować nie mógł, „w rzeczach religji posłuszeństwo należy się Bogu a nie ludziom“ wsparci na téj zasadzie woleli chrześcijanie raczéj ginąć niż od swych przekonań odstąpić. — Nikt nie może znieść wolności religijnéj, nikt nie może zmusić mię do wyboru bóstwa, którego nie uznaję, tak mówili Apologiści [1]), tak wołał cały wojujący kościół. — W krótce jednak po utrwaleniu swego bytu, zwycięzki kościół bez wahania od zasad pierwotnych odstępuje. Poniżéj zobaczymy, co się stanie z wykonywaniem kardynalnych cnót, téj zbiorowéj duszy Chrześcijanizmu, teraz wspominamy tylko, iż zwycięzki kościół otworzył swój debiut na polu politycznem, energiczném natarciem na sekty Donatystów i Arjanów, z jego własnego łona powstałych, że smutna sława postawienia pierwszéj antytolerancyjnéj teorji należy się wspomnianemu już kilka razy, wielkiemu doktorowi kościoła łacińskiego Augustynowi, którego zdanie w tym względzie o tyle większą ma wagę, iż, jak powiedzieliśmy, było jeszcze w XVII w. pobożnie cytowane, i dziś nawet pomiędzy pewnymi ludźmi używa wielkiéj powagi. Pierwotnie t. j. kiedy siły kościoła nie były po temu, uznawał Augustym, iż nie przymus lecz słowo przekonywać i nawracać winno, [2]) lecz z czasem, mówi on, rzeczywiste przykłady utwierdziły we mnie to przekonanie, iż przymusowe nawracanie heretyków, w ich własnym interesie miejsce mieć winno, [3]) bo chociaż to zbawienne lekarstwo nie każdemu pomoże, to przecież wszystkich dla niektórych opuścić się nie godzi [4]), sam Bóg przecież syna swego nie oszczędził „Deus proprio Filio non pepercit!“ i wydał go dla nas w ręce katów! — Listy Augustyna i prześladowanie Donatystów oto dobry początek teorji i praktyki niesłychanéj tyranji kościoła, wykonywanéj następnie w imię fałszywie pojętéj, najczystszéj zasady na wiele rozleglejszą skalę, tyranji, która depcząc bezkarnie lat tysiąc skrępowane węzłami ciemnoty społeczeństwo, w XVI w. pod promieniami rozbudzonego ducha ludzkiego stopnieć musiało. W stosunku swoim do władzy świeckiej kościół wojujący i w pierwszych czasach zwycięztwa bardzo był skromny, nie znać téż nigdzie śladów jakichkolwiek nieporozumień i sporów. „Każden jest poddany zwierzchności, mówi Paweł, a to pochodzi od Boga, kto sprzeciwia się zwierzchności, sprzeciwia się Bogu“ [5]) „Bądźcie posłuszni władzy, mówi Piotr, choćby ta złą była,“ a zdanie to Apostołów powtarza się też w ogóle i u Ojców kościoła, nie wyjmując Ambrożego, który znany z nieprzychylności dla władzy świeckiéj, każe przecież nietylko płacić trybut, lecz nawet oddawać grunta kościelne, jeżeli tego Cezar zarządza [6])..... oddajmy Cezarowi, co do niego należy. — (Ciąg dalszy nastąpi.)

[1]) In Ewang. Joannis. Fract. VI, 25—26. —

[2]) Jast. Apol. I, 14. — Tertul Apol. c. 39. — Jak — I, 9—11. II, 1, 5, 6 — V, 1, 2.

[3]) Ambr. De Nabutae Jesraelita c. I, 2 — i de offic. L. I. c. XXVIII.

[1]) Tertulian. Apol. c. 24 ad. scap. c. 2. — Lact. Epit. Div. Jast. c. LIV.

[2]) Epist. CXIII, 17, epist. CLXXV, — VII, 25. Nonnulis fratribus videbatur, in quisquis ego eram, non esse petentum ab imperatoribus ut ipsam haeresim juberent omnino non esse. —

[3]) Ep. CXIII, 1. —

[4]) Epist. CXIII, 2—9. Ep. CLXXXV. c. II, 8 — c. V, 19, c. VI, 22, także Epist. CLXXV, de correctione donastitarum.

[5]) List do Rzymjan, XIII, 1, 7. —

[6]) Ambr. — Oratio de basilicis tradendis. 38. —

POKŁOSIE.

Ksiądz **Walerjan Kalinka** wydał swoim nakładem pisemko p. n. „Przegrana Francji i przyszłość Europy“; — w Toruniu wyszła u p. T. Rakowicza p. n. „Ochronka Buchwaldzka“ instrukcja do zakładania, utrzymania i prowadzenia tanich ochronek ludowych, wypracowana z polecenia dyrekcji Towarzystwa naukowéj pomocy dla dziewcząt polskich przez **Helenę Donimirską**; — **Filip Sulimierski** przełożył z języka francuzkiego Franciszka Sarcey „Oblężenie Paryża.“ —

W wszechnicy Krakowskiéj wakuje po profesorze Walewskim **Katedra historji powszechnéj**. —

Tydzień J. I. Kraszewskiego odzywa się powtórnie w sprawie **Grobów na Wawelu**. — Pana Wiktora Łylickiego, przewodniczącego w komitecie stowarzyszenia Sybiraków w Krakowie upoważnił Zarząd **Muzeum historycznego w Rapperswylu** do zbierania darów i funduszow na ten zakład narodowy, który jest własnością Polski. — **Muzeum** ciągle się wzbogaca: ze Stanów Zjedno-

czonych Ameryki przybyły w tych dniach dary dla biblioteki i wizerunek pomników wystawionych na cześć Pułaskiego i Kościuszki; z Florencji popiersia Kraszewskiego i Narbuta. Zarząd Muzeum wyjątkowo nabył cały zbiór historyczny przesłany ze Sztokholmu przez Pana Bukowskiego; jest on blizkim krewnym Krystjana Hamera, głównego właściciela Muzeum Starożytności w tem mieście.

„Zbiory te są bardzo szacowne i rzucają światło na historję wojen Szwedzkich; składają się głównie z rycin, autografów, manuskryptów, książek i broszur. Pomiędzy portretami znajdują się Zygmunta III, Księcia Józefa Poniatowskiego, bardzo rzadki Zygmunta jako króla Szwedzkiego, Augusta II. i III.; wjazd Ossolińskiego do Rzymu; Sobieskiego pod Chocimem przez de la Haie; Stanisława Leszczyńskiego, Sierakowskiege aquarella, i kilka innych; Kościuszki rannego sztychowany w Szwecji; sztychy Falcka znakomitych Polaków i t. p.—w tym zbiorze są i dubelta.

Pomiędzy licznemi autografami znajdują się Zygmunta II. i III., Augusta II i III, Stanisława Leszczyńskiego, Katarzyny jego żony i córki Marji Leszczyńskiéj. Manuskrypta, inwentarze, protokuły, instrukcje, i t. p. z czasów wojen Szwedzkich.

Pomiędzy dziełami drukowanemi są: Mandata Sigism. III 1596, Nordberga dodatek rzadki; Ranischa Opis kościołów Gdańskich i t. p., wiele broszur z roku 1701—1707. Do tego zbioru należy szczątek chorągwi polskiéj ze Szwecji.“

Jan-Fryderyk-Wilhelm **Herschel**, syn Fryderyka-Wylhelma, przyjaciela Jana Śniadeckiego, znakomity astronom angielski, autor i badacz natury, ur. r. 1792 dnia 7 marca w Slough pod Windsorem, umarł dnia 12 kwietnia br. w Collingwood, w okręgu angielskim Hawkhurst — Emil **Deschamps**, wierszopis francuzki, tłomacz Szyllera, ur. w Bourges r. 1791 dnia 20 stycznia, umarł w Wersalu dnia 23 marca b. r.

Zamordowany przez Wersalczyków wraz z Dalewskim **Alexander Wernicki**, b. student uniwersytetu Moskiewskiego, — brał gorący udział w pracach przygotowawczych do powstania; i w samém powstaniu, — wysłany do Syberji, potrafił uciec z drogi za granicę, gdzie działalność jego pomiędzy emigracją była znakomita, a ogólna sympatja i szacunek jéj nagrodą. Był on członkiem czynnym wszystkich towarzystw emigracyjnych jak: Literacko-naukowego, Uczącéj się młodzieży, Wzajemnéj i Bratniéj pomocy, Stowarzyszenia Podatkowego, Towarzystwa Demokratycznego, Zjednoczonéj emigracji, Delegacji litewskiéj i t. d.

Jednocześnie przyjmował czynny udział w ruchu literacko-publicystycznym. Był współpracownikiem następujących pism polskich: Kurjera wileńskiego, Gazety warszawskiéj, Gazety codziennéj i polskiéj, Dziennika poznańskiego, Gazety narodowéj, Kraju, Głosu wolnego, Niepodległości, Przyszłości (współredaktor), Dziennika literackiego, Towarzysza, Mrówki, oraz warszawskich pism ludowych, a za czasów uniwersyteckich redagował w Moskwie Dzienniczek w języku polskim. Z większych prac znane są:

O prześladowaniu kościoła unickiego drukowane w „Dzienniku Poznańskim,“ następnie powiększone obszernym wstępem, wyszło w „Bibliotece Mrówki.“ —

Zdobycze Moskwy w Azji środkowéj, praca obszerna, zawierająca ciekawe szczegóły i poglądy, drukowana w „Gazecie Nar.“ (1868).

PYTANIA I ODPOWIEDZI.

Odpowiedź na zapytanie II w numerze 25:

— „W powiecie Odolanowskim odbywają się wyścigi na... pałace.“

W miejsce odpowiedzi na zapytanie III podajemy list, który nas doszedł onegdaj:

Szanowny Redaktorze!

Nie mogłem przetrzymać na sobie, ażebym nie odpowiedział na prowokujące i pełne złośliwości zapytanie umieszczone w piśmie twojém. — Nie pierwszy to raz odwaga i gorliwość w służbie Bożéj są przedmiotem obelg i napaści! — Widzi Bóg, że zniósłbym z Boduenowską szczytną pokorą ten zamierzony nowy policzek — ale myśl, że pismem moim potrafię uprzedzić lub osłabić odpowiedź jakiego człowieka złéj woli, skłoniła mnie do napisania słów kilku. Wiém że je umieścisz, jeźli nie przez uczucie sprawiedliwości, to przez złośliwość. W każdym razie cel będzie otrzymany. Co Tygodnik Katolicki będzie robił na przyszłych wyborach?! To, co i na tych, Szanowny Panie! Tak jest, inaczéj by popełnił dezercję ze stanowiska, jakie mu dobro i całość Kościoła wyznaczyły. Będzie robił to samo dzieło święte — z większą zręcznością może — nauczony doświadczeniem, że bezbożności o fortel najłatwiéj — a najlepsza sprawa bez odpowiednich środków nie zwycięży. Będzie robił to samo! Zacznie na zgromadzeniach przedwyborczych — a skończy trjumfalnie, z pomocą Bożą na wyborach, co zamierzył. I będzie jak dotąd gromił nieprzyjaciół swoich — do zabicia! — albowiem są nieprzyjaciółmi Kościoła a więc Boga i dobra na nich jest: czy szczęka ośla (!) Samsona — czy Jerychońska trąba Jozuego!...

Z uszanowaniem

X. K.

Przysłano nam następujące zapytania, które podając Czytelnikom — oczekujemy na nie odpowiedzi:

IV. „Czego brakuje młodzieży Wielkopolskiéj?“

V. „Czy nie wartoby było oddać tak dawno przyrzeczoną wizytę galicyjskim Sokołom i Orłom?“

Skrzynka do listów.

P. F...: Wiersza pańskiego zamieścić nie możemy, ponieważ mimo ożywiającego go uczucia religijno-patrjotycznego brak oryginalności w przedstawieniu, reminiscencje hymnu „Z dymem pożarów“ i zuchwałe rymy, przypominające Słowackiego, wartość mu odejmują.

P. Korynnie: „Na skrzydłach Ikara“ wkrótce zamieszczoném będzie; — prosimy o więcéj!

P. N... N... w Chełmnie: Wiersz pański nie wypłynie z potopu mierności nawet „Na świata groźnych bałwanach!“

P. Franciszkowi K... w Bydgoszczy: Nie rozumiemy języka pańskiéj „Małpy.“

P. Autorowi „Cyganki“ i „Kobiety“: Formy i jasności wyrażenia potrzeba przedewszystkiém!

P. Juliuszowi Klińskiemu: „Kilka Strof“ Jego nie możemy zamieścić!

P. E. Tr... z K... pod Ł...: Wysłaliśmy życzony numer, jakkolwiek tamtejsza poczta zobowiązaną była go dostarczyć.

P. Koberowi w Pradze czeskiéj: Jak najsumienniéj wysyłamy nasz Tygodnik.

P. J... K... z J...: Przypominamy się, ponieważ minął termin 15 czerwca.

P. Dr. M... w Kr...: Odebrawszy przesyłkę, wysłaliśmy życzone wierszydła.

Kochanemu bratu Sokołowi, panu Henrykowi z pod Wiszni: Nic tu nie słychać o wycieczce wielkopolskich orląt, — a byłaby ona może na czasie! — Tutejszy urząd pocztowy nie wypłaca zaliczek austrjackich; — z wiadomych osób uiścili się pp. M... D... i O... S...

P. J... K... w Mar...: Za przesyłkę nic się nie należy.

X. J... C... w Antwerpji: Uczyniono zadosyć Jego życzeniom.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.